



FRANZ KAFKA

PROCES

2 października 1911

Bezsenna noc. Już trzecia z rzędu. Zasypiam dobrze, ale po upływie godziny budzę się, jakbym włożył głowę w niewiaściwy otwór. Jestem zupełnie rozbudzony, mam takie uczucie, jakbym nie spał w ogóle lub tylko pod cienką błonką, mam znów przed sobą trud zasypiania i czuję się odepchnięty od snu. I od teraz rozpoczyna się cała noc mniej więcej aż do godziny piątej, noc taka, że wprawdzie śpię, ale wyraziste sny trzymają mnie równocześnie w stanie czuwania. Śpię dosłownie obok siebie, a sam muszę szamotać się z sennymi widziadłami. Około godziny piątej jest już dospany ostatni ślad snu, marzę tylko, co wysiła bardziej niż czuwanie. Krótko mówiąc przepędzam całą noc w stanie takim, w jakim człowiek zdrowy znajduje się na krótką chwilę przed właściwym zaśnięciem. Kiedy budzę się, wszystkie sny są jeszcze zgromadzone wokół mnie, lecz wystrzegam się przenikać je myślą.

9 października 1911

Sen dzisiejszej nocy, nawet rano nie uważałem go za piękny z wyjątkiem jednej małej scenki, złożonej z dwóch sprzecznych spostrzeżeń, która wywołała owo niezmierne uczucie zadowolenia ze snu, a którą mimo to zapomniałem. Szedłem - czy towarzyszył mi zaraz od początku Maks, nie wiem - obok długiego szeregu domów na wysokości pierwszego lub drugiego piętra, tak jak w pociągach pospiesznych idziemy z wagonu do wagonu. Szedłem bardzo szybko, może dlatego, bo czasem dom był tak nadwreżony, że już to samo skłaniało do pośpiechu. Drzwi pomiędzy domami nie zwracały wcale mojej uwagi, była to po prostu olbrzymia amfilada pokoi, a przecież można było rozpoznać różnicę nie tylko poszczególnych mieszkań, lecz nawet domów. Może były to same pokoje z łózkami - te, które mijalem. Pozostało mi we wspomnieniu jedno charakterystyczne łóżko stojące z boku, na lewo ode mnie, przy ciemnej czy też brudnej i może skośnej, jak bywa na poddaszach, ścianie z niskim stosem pościeli i z kocem, a raczej tylko zgrzebną chustą płócienną, która skopana nogami tego, co tam spał, zwisała rąbkami ku ziemi. Uczułem się zawstydzony, że w porze, gdy wiele osób jeszcze leży w łózkach, przechodzę przez ich pokoje, szedłem więc na palcach, wielkimi krokami, spodziewając się w ten sposób dać jakoś do zrozumienia, że przechodzę tylko

dlatego, bo muszę, że na wszystko w miarę możności uważam, i stąkam lekko, tak że moje przechodzenie nie ma formalnie żadnego znaczenia. Dlatego nie zwracałem nigdy w tym samym pokoju głowy w bok, widząc tylko to, co miesciło się po prawej stronie, w kierunku ulicy, albo po lewej, w kierunku tylnej ściany. Szereg mieszkań przepłatały często burdele, które jednak mijalem szczególnie szybko, choć z ich powodu pozornie podjąłem tę wędrowkę, tak że nie zauważyłem nic prócz ich istnienia, ale ostatni pokój spośród wszystkich mieszkań był znowu burdelem, i tu zatrzymałem się. Ściana naprzeciw drzwi, przez które wszedłem, ostatnia zatem w rzędzie domów, była albo szklana, albo w ogóle rozwalona, tak że krocząc dalej byłbym runął w dół. Bardziej nawet jest prawdopodobne, że była rozwalona, gdyż przy samym skraju podłogi leżały dziewczki.

14 listopada 1911

Po południu przy zasypianiu. Jak gdybym twardą pokrywą, obejmującą bezbolesną czaszkę, wciągnął głęboko w jej wnętrze, pozostawiając na wierzchu część mózgu na swobodną igraszkę światła i mięśni. Przebudzenie w chłodny, żółtawoświecisty ranek jesienny. Przez prawie zamknięte okno wdzierają się, unosząc się jeszcze przed szybami, nim się znowu w sen zapadnie, zjawy o rozpostartych ramionach, wypiętym brzuchu i wygiętych w tył nogach - niby figury na dziobie okrętu w dawnych czasach.

6 maja 1912

Niedawny sen: Jechałem z moim ojcem tramwajem przez Berlin. Element wielkomięjski reprezentowały niezliczone, sterczące prosto w równych odstępach, dwubarwnie pomalowane, na końcu zaokrąglone i wygięte szlabany. Poza tym prawie zupełnie pustka, ale natłok tych rogatek był wielki. Podjechaliśmy pod jakąś bramę, wysiedliśmy nie zdając sobie z tego sprawy i weszliśmy w tę bramę. Za bramą wznosiła się bardzo stroma ściana, po której mój ojciec wspiął się niemal tanecznym krokiem, nogi migają mu przy tym, tak łatwo mu to szło. Niewątpliwie było trochę bezwzględności w tym, że nie dopomógł mi wcale, bo wspinałem się z najwyższym wysiłkiem, na czworakach, ześlizgując się często, jakby ściana stała się podęmną bardziej spadzista.

Gdy wreszcie znalazł się na szczycie, ojciec mój, który wyszedł już z wnętrza jakiegos budynku, natychmiast rzucił mi się na szyję, ucałował mnie i uściskał. Miał na sobie dobrze

znany ze wspomnień staromodny kusy
angiel, wypchany jak kanapa, który do-
brze pamiętam. „Ach, ten doktor von
Leyden! To przecież znakomity czło-
wiek” - wołał raz po raz. Odwiedził
go wcale nie jako lekarza, lecz jako
osobnika godnego poznania. Obawiałem
się trochę, że będę także musiał zejść
do niego, ale nie wysunięto takiego
żądania. Na lewo poza sobą zobaczyłem
odwróconego ode mnie mężczyznę, sie-
dzącego w pokoju o samych szklanych
ścianach wokoło. Okazało się, że był to
sekretarz profesora, że istotnie mój
ojciec rozmawiał tylko z nim, a nie
z samym profesorem; że jednak jakoś
tam za pośrednictwem sekretarza poz-
nał namacalnie zalety profesora, tak
że pod każdym względem czuł się uprawn-
iony do wydawania sądu o profesorze
dokładnie w tym samym stopniu, jak
gdyby rozmawiał z nim osobiście.

17 listopada 1913

Sen: Na wznoszącej się do góry
drodze mieścił się mniej więcej
w środku garbu, zajmujący głównie
jezdnię, a zaczynający się, patrząc
od dołu po lewej stronie - śmiet-
nik albo zakrzepła glina, która po
prawej stronie osunęła się w dół
stopniowo na skutek skruszenia, na-
tomiasz po lewej sterczała wysoko
niby palisada ogrodzenia. Siedziałem
stroną prawą, gdzie droga była pra-
wie wolna, i zobaczyłem, że z dołu
zbliża się ku mnie jakiś człowiek
na trójkołowcu, najeżdżając, zdawało
się, prosto na przeszkodę. Był to
człowiek jakby bezoki, a przynajm-
niej jego oczy wyglądały jak zamglo-
ne doły. Trójkołowiec był wywrotny,
w związku z tym jechał wprawdzie
niepewnie i chwiejnie, ale mimo to
bezszelestnie, prawie przesadnie
cicho i lekko. Pochwyciłem cyklistę
w ostatniej chwili i trzymając go
tak, jak gdyby był kierownicą swego
pojazdu, skierowałem pojazd w rozpa-
dlinę, którą sam przyszedłem. Wówczas
osunął się na mnie, lecz urosłem na-
gle w olbrzyma, a mimo to trzymałem
go w jakiejś wymuszonej postawie; na
domiar złego pojazd, jakby bezpieczny
od tej chwili, zaczął zjeżdżać - choć
na razie powoli - z powrotem w dół
i pociągnął mnie za sobą. Minęliśmy
wóz drabiniasty, na którym tłoczy-
ło się kilkoro ludzi, wszyscy ciem-
no odziani, był wśród nich chłopiec,
skaut w jasnopopielatym kapeluszu
z podwiniętą kresą. Od tego chłopca,
którego zauważyłem już z pewnego
oddalenia, oczekiwałem pomocy, coż,
kiedy on odwrócił się i wcisnął mię-
dzy ludzi. Potem spoza drabiniaste-
go wozu pojawił się - tymczasem trój-

kołowiec toczył się coraz niżej i mu-
siałem głęboko zgięty, rozstawiwszy
nogi, staczać się razem z nim - ktoś
zdążający ku mnie - kto mnie ura-
tował, nie mogę jednak przypomnieć
go sobie. Wiem tylko tyle, że był to
człowiek godny zaufania, który te-
raz kryje się jak gdyby za czarną,
rozpiętą chustą którego incognito
powiniennem uszanować.

24 listopada 1913

Sen nad ranem: siedzę w ogrodzie
jakiegoś sanatorium przy długim
stole, nawet u końca stołu, tak że
właściwie widzę we mnie swoje ple-
cy. Jest dzień pochmurny, musiałem
chyba odbyć wycieczkę i dotarłem tu
przed chwilą autem, które z rozpę-
dem podjechało pod wjazd. Mają wła-
śnie podać posiłek i widzę, jak jedna
ze służących, młodzianka i delikatna
dziewczyna w sukni koloru jesien-
nych liści, zbliża się bardzo lekkin
czy może chwiejnym krokiem przez
kolumnadę stanowiącą fronton sanato-
rium i schodzi stopniami do ogrodu.
Nie wiem na razie, czego chce, lecz
pytającym gestem wskazuję siebie, aby
dowiedzieć się, czy ma mnie na my-
śli. Istotnie przynosi mi jakiś list.
Myślę, że to nie może być ten list,
którego oczekuję. Jest to list nie-
zwykle cienki, pismo obce mi, cien-
kie i niewyrobfone. Mimo to otwie-
ram kopertę i wypada z niej mnóstwo
cienkich i zapisanych od góry do
dołu kartek, na wszystkich widać to
samo nieznanne pismo. Zaczynam czytać,
przeoglądam kartki i stwierdzam, że
jest to chyba list bardzo ważny, po-
chodzący prawdopodobnie od najmlod-
szej siostry F. Zaczynam więc czytać
chcicie, aż tu mój sąsiad po prawej
stronie - nie wiem, mężczyzna czy
kobieta, nie przypuszczalnie dziecko
- zagląda mi przez ramię do listu.
Krzyczę: „Nie!” - Nerwowe towarzystwo
przy stole zaczyna dygotać. Prawdopo-
dobnie spowodowałem katastrofę. Pró-
buje usprawiedliwić się paru szybki-
mi słowami, aby móc czytać dalej. Po-
chylał się też znów nad swym listem
i wtem budzę się nieodwołalnie, jak-
by przebudził mnie mój własny krzyk.
Z jasną świadomością przymuszam się
gwałtownie, aby znów zapaść w sen.
Sytuacja powraca istotnie, czytam
jeszcze szybko dwa albo trzy mgliste
wiersze listu, z których nie zapam-
iętałem nic, i zatracam w dalszym
uspieniu senne widziadło.

17 grudnia 1913

Idę spać, jestem zmęczony. Może
tam zapadł już wyrok. Wiele snów na
ten temat.



FRANZ KAFKA

PROCES

(Der Prozess)

Przekład: Bruno Schulz

Reżyseria: Krzysztof Prus
Scenografia: Marek Mikulski

Asystent reżysera: Norbert Kaczorowski
Inspicjent: Edyta Bicz
Sufler: Szymon Wiechoczek

Obsada:

Józef K. - Zbigniew Stryj
Pani Grubach - Jolanta Niestrój-Malisz
Panna Burstner - Dorota Rusek
Wuj Józefa - Jacek Dżisiewicz
Adwokat - Andrzej Lipski
Siepacz, Wicedyrektor banku - Andrzej Kroczyński
Leni, Urzędniczka banku - Joanna Falkowska
Pan w meloniku, Student, Ksiądz,
Oskarżony,
Urzędnik banku - Marcin Kocela
Pan w meloniku, Sędzia śledczy,
Oskarżony,
Urzędnik banku - Jacek Wojnicki
Pan w meloniku, Woźny sądowy,
Oskarżony,
Petent, Urzędnik banku - Robert Lubawy
Żona woźnego, Urzędniczka banku - Dagmara Ziaja
Nadzorca, Dyrektor kancelarii sądu,
Oskarżony, Urzędnik banku - Szymon Wiechoczek
Strażnik Franciszek, Oskarżony,
Petent, Urzędnik banku - Krzysztof Urbanowicz
Strażnik Wilhelm, Oskarżony Block,
Petent, Urzędnik banku - Marian Kierycz
Malarz Titorelli - Norbert Kaczorowski

PREMIERA: 25 MARCA 2006r.

Licencja na wystawienie utworu została wydana przez Stowarzyszenie Autorów ZAIKS

Podobnie jak w tyłu marzeniach sennych mamy tu do czynienia z wydarzeniami, z których każde jest konkretne i realistyczne, całość jednak jest nieprawdopodobna i fantastyczna. Aby zrozumieć tę powieść, należy ją odczytywać tak, jakbyśmy słuchali jakiegoś marzenia sennego - długiego, zawikłanego snu, w którym zewnętrzne wydarzenia dzieją się w przestrzeni i czasie, będąc odpowiednikiem myśli i uczuć śniącego, w tym przypadku bohatera powieści - Józefa K. (...)

K., jak moglibyśmy powiedzieć, rozpoczyna marzenie sennie od uświadomienia sobie, że jest zatrzymany. Co to znaczy - „zatrzymany”? Jest to interesujące słowo, które ma podwójne znaczenie. To, że jesteśmy zatrzymani, może znaczyć, iż znaleźliśmy się pod nadzorem funkcjonariuszy policji, lecz zatrzymanie może również znaczyć zahamowanie możliwości rozwoju. Oskarżony jest aresztowany przez policję, zahamowany jest normalny rozwój jego organizmu. W jawnej warstwie opowieści używa się wyrażenia „zatrzymany” w pierwszym rozumieniu. Natomiast jej symboliczne znaczenie zawarte jest w tym drugim. K. ma świadomość, iż jest aresztowany i zahamowany w swym własnym rozwoju. (...)

Było to puste, zrutynizowane życie, egzystencja jakowa, wyzbyta miłości i elementów twórczych. Istotnie był on zatrzymany i słyszał, jak głos sumienia informuje go o zatrzymaniu i o niebezpieczeństwie zagrażającym jego osobowości.

Józef K. był człowiekiem o „orientacji odbiorczej”. Otrzymywał od innych - nigdy zaś dawać czy też tworzyć - to był kierunek wszelkich jego dążeń.

Inni powinni go karmić, troszczyć się o niego i osłaniać przed światem, od nich się uzależnić. Był wciąż dzieckiem szukającym pomocy matki - oczekującym od niej wszystkiego, wykorzystującym ją i zręcznie nią kierującym. Jak u wszystkich ludzi o podobnym nastawieniu, starania jego obracały się głównie wokół miłego i sympatycznego sposobu bycia, tak by ludzie, zwłaszcza zaś kobiety, dawali mu to, czego potrze-

buje; największym lękiem napawała go okoliczność, że ludzie mogliby się rozgniewać i zaniechać świadczeń. W jego przekonaniu źródło wszelkiego dobra znajdowało się na zewnątrz, a problem życia sprowadzał się do unikania ryzyka utraty łask, które z niego płynęły. Wynika stąd brak poczucia własnej siły i dojmujący lęk przed groźbą porzucenia go przez osobę czy też osoby, od których jest uzależniony.

K. nie wiedział, kto go oskarżył, ani też, co mu się właściwie zarzuca. (...)

W realnym życiu nie mogłoby się to chyba przytrafić. Jeśli człowiek jest aresztowany, nie wolno mu prowadzić nadal zwykłym trybem swych spraw urzędowych ani też kontynuować żadnej ze swych codziennych czynności. To osobliwe zarządzenie wyrażało w sposób symboliczny fakt, iż jego czynności urzędowe oraz wszystkie inne poczynania były tego rodzaju, że zaaresztowanie go jako istoty ludzkiej nie wpłynęło właściwie na ich przebieg. Z ludzkiego punktu widzenia był on niemal martwy, lecz mógł mimo to wieść nadal życie urzędnika bankowego, ponieważ działalność ta nie miała nic wspólnego z jego człowieczą egzystencją.

K. miał mglistą świadomość tego, iż trwoni swe życie i ulega szybkiemu wewnętrznemu rozpadowi. Chociaż słyszał głos swego sumienia, nie rozumiał go jednak. Zamiast pokusić się o zrozumienie prawdziwej przyczyny swego aresztowania, przejawiał skłonność do ucieczki od wszelkiej świadomości. Zamiast pomóc samemu sobie w jedynej możliwy sposób - uznając prawdę i próbując się zmienić - szukał pomocy tam, gdzie nie można jej było znaleźć: na zewnątrz; szukał wsparcia u innych, u sprytnych adwokatów, u kobiet, których koneksje mógł wykorzystywać, zapewniając zawsze uroczyscie o swej niewinności i zagłuszając głos mówiący mu, iż jest winny.

(Erich Fromm, *Zapomniany język. Wstęp do rozumienia snów, baśni i mitów*,

Warszawa 1972.)

Dyrektor Naczelny i Artystyczny
Andrzej Lipski

Główny specjalista
ds. administracji i zarządzania
Anna Wlasczyk

Kierownik Muzyczny
Marzena Mikula-Drabek

Sekretarz Teatru
/Asystent Dyrektora
Beata Dąbrowiecka

Organizacja pracy artystycznej
Krystyna Podleszczuk

Kierownik Techniczny
Joanna Puk

Biuro Marketingu i Promocji
Katarzyna Sikora, Małgorzata Kaszubska

Specjalista ds. reklamy
Dorota Kosturek

Pracownia krawiecka
Zenon Kapciak, Dorota Zeliszek

Pracownia fryzjersko-ogrodnicza
Lidia Drobnik

Rekwizytornia
Beata Budzanowska, Beata Łojek

Gardieroliani
Beata Żmigrodzka, Teresa Jasiecka

Pracownia elektryczno-akustyczna
Krzysztof Pająk, Jerzy Puk,
Jan Miciak, Tomasz Felczak,
Sławomir Kuchta

Pracownia stolarska
Jan Swonke

Prace glazurskie
Czesław Guzy

Pracownia plastyczna
Bartłomiej Latoszek

Obsługa sceny
Adam Bisiak, Daniel Biedal,
Zygmunt Owczarek, Marek Wróbel

- W programie wykorzystano projekt
afisza autorstwa Marka Mikulskiego

Redakcja programu - Beata Dąbrowiecka
Projekt graficzny - Marek Mikulski

PATRONI MEDIALNI:



PRZYJACIEL TEATRU:



SPONSOR:



PATRONAT POLIGRAFICZNY:



CENTRUM USŁUG DRUKARSKICH
HENRYK MILER

- Sezon 2005/2006
- Program CCLX

Druk:
Centrum Usług Drukarskich
Henryk Miler
Tel. 032 244 33 3922

BEZPŁATNY



TEATR NOWY
PLAC TEATRALNY 1,
41-800 ZABRZE

Tel. (032) 271 32 56
Fax (032) 271 15 08

Rezerwacja biletów:
DZIAŁ MARKETINGU I PROMOCJI:
tel. (032) 271 54 93
Kasa biletowa:
(032) 271 32 56 w. 220

www.teatrnowywzabrze.art.pl